



NA CENZUROWANYM



ANNA NOGAJ

ZDARZENIA I ZDERZENIA Z RZECZYWISTOŚCIĄ W POEZJI ELŻBIETY CICHLI-CZARNIAWSKIEJ

Po lekturze nowego zbiorku poetyckiego *Moja sowa śnieżna* śmiało mogę powiedzieć, iż Elżbieta Cichla-Czarniawska jest poetką o zdecydowanie okrzeplą już formacji artystycznej. Świadczy o tym m.in. spokojne prowadzenie wersum, wewnętrzne uporządkowanie tekstów i nie poddawanie się wytartym formułkom służącym do opisywania tematów egzystencjalnych czy epistemologicznych. Ładnie zostaje poprowadzona przewodnia myśl tomiku ubrana od początku do końca w jedną i tą samą konwencję. Autorka nie szafuje środkami artystycznego wyrazu opierając swój przekaz na dobrej, choć dyskretnej metaforze i niebanalnych słownych zestawieniach. A w pisaniu o Bogu, cierpieniu, przemijaniu, jak wiadomo, nie trudno otrzeć się o banał, o czym świadczy masa tekstów nie tylko debiutantów ale i doświadczonych twórców, w których sięga się po sztampowe rozwiązania. Stąd też książka ta jest pozycją osobną, obok której trudno przejść obojętnie. Poetka nie ucieka od trudnych pytań: sama je zadaje i często udziela na nie odpowiedzi. Przyjmuje raczej postawę konfrontacyjną, co często niesie ze sobą ból, ale ból oswojony pogodną afirmacją zastanego porządku. Toteż przekładnie kolejnych kartek tego mini-traktatu o życiu na pewno nie grozi utratą dobrego nastroju. Wręcz przeciwnie, w jęczące się rany poetka wkłada swoje wiersze, zblizniając dobrą myślą każde emocjonalne pęknięcie. Pozwólmy więc sobie na chwilę duchowego (ode)tchnienia zaczynając ten arcytrudny dialog z Elżbietą Cichłą-Czarniawską.

Czytając teksty zamieszczone w tomiku będziemy poruszali się w przestrzeni wewnętrznej podmiotu lirycznego i przestrzeni ogólnoludzkiej. Bohaterem większości tekstów jest nie „ja” mówiące w pierwszej osobie, a w trzeciej, co pogłębia uniwer-

salizm podjętej tematyki. Często też pojawia się bezpośredni zwrot do adresata, dzięki czemu między nadawcą wypowiedzi a czytelnikiem wywiązuje się szczególna więź i zaufanie. Rodzi się w ten sposób także pewna forma nietypowej dyskusji, w której jedna strona mówi a druga milczy i wewnątrz siebie udziela odpowiedzi. A zapytani będziemy o rzeczy różne, bo eksploracji poddane zostaną najtajniejsze zakamarki ludzkiej duszy i duszy świata.

Dużo będzie się tutaj mówić o zachowaniu swojej osobowej tożsamości. Autorka co chwilę przypomina, iż jednostka wrzucana w kołowrót wydarzeń, poddana działaniu fluktuacyjnych procesów zatracza po drodze własne „ja”, czym odbiera sobie prawo do szczęścia (w sprzecznościach). Nie ma jednak siły na walkę i zadawała się namiastkami życia podglądając je zza grubej szyby. Wiersze Cichli-Czarniawskiej wołają więc o prawdę i mądrość, o wartości czyste, nie zainfekowane brudem, tzw. masówką, gdy wszyscy robią to co im każą, a nie to co robić powinni. Trudno jest jednak wyrazić swoje *rotum separatum*, gdy w centrum stoi materia i króluje próżny człowiek z aureolą pychy na głowie. I ten przecież nie jest wolny od upadków i zranień. Przychodzi czas, że schyla z pokorą głowę przed Światem i uznaje tym sposobem swoją kruchość i małość.

*nocą
nie pozostaje nic innego
jak usiąść na gruzach
i wyplakać pod bezprzestrzennym niebem
resztki jęczących snów
o potędze (bez tlenu)*

W pewnym memencie rodzi się więc pytanie o to, gdzie szukać pomocy, i jak się ukonstytuować w ogólnym porządku, jeśli

kolejny buntowniczy zryw nie przyniósł rozwiązania. Poetka daje tylko jedną pewną odpowiedź. Pokój serca człowiek odzyska tylko wtedy, kiedy zgodzi się na swój los. Dzięki temu zakotwiczy gdzieś na wodach spokojnych, mimo to, iż wokół będą szaleć fale strachu i niepokoju.

Aby uchronić się przed relatywizmem takich pojęć jak: prawda, dobro, piękno, trzeba przywrócić im dawne znaczenia, jeszcze raz nazwać rzeczy po imieniu. Inaczej wokół człowieka „wyrasta martwy las rzeczy” (cień uwięziony w lesie rzeczy), gdzie wszystko błyszczy światłem złudnym, odbitym. Jego prawdziwego źródła można szukać tylko w głębi siebie, o czym przekonuje nas podmiot liryczny w sześciu zgrabnie skomponowanych lirykach. W każdym z nich pojawia się motyw sowy śnieżnej, będącej uosobieniem wnętrza „ja” mówiącego. Jak wiadomo, ptak ten niesie ze sobą takie konotacje, jak mądrość i tajemnicę, a dodając jeszcze, iż autorka wybrała właśnie śnieżną sowę, możemy suponować, że chodziło jej o wskazanie na jej czystość:

*moja sowa śnieżna
nie zważa na nic*

*trwa przyczupnięta
na gałęzi czystego marzenia
i czyści pióra z prochu ziemi*

(***moja sowa śnieżna)

Czystość ta może być odzwierciedleniem sfery ducha, często konfrontowanej przez Cichłą-Czarniawską z materią. „Sowa czyści pióra z prochu ziemi” czytamy taki passus, który, jak wiele mu podobnych, można odczytywać na kilka sposobów, odnosząc się do różnych kontekstów (vide: posłowie Piotra Sanetry). Można powiedzieć, iż sowa śnieżna jest jakby drugim ja podmiotu, ale tym lepszym. A może sumieniem, czy głęboko ukrytą, często nieuświadomioną lub uśpioną prawdą o sobie, swoim człowieczeństwie. Jedno jest pewne, bohater wierszy Czarniawskiej wie,

gdzie ma szukać pomocy, wie też, że przez pryzmat „czystego marzenia” najpiękniej patrzy się na oblicze świata.

O ważności tekstów eksploatujących motyw sowy świadczy ich rozmieszczenie: na początku i końcu tomiku, oraz cztery w środkowej części. Wewnętrzna i zewnętrzna klamra spinają i uspojnają zapis liryczny autorki stanowiąc wyrazistą tematyczną ramę dla całości.

Podmiot liryczny nie mówi jednak o sobie zbyt wiele, za to dużo uwagi poświęca kwestiom ogólnoludzkim wyrażając się ciepło o człowieku, nobilitując go. Nawołuje do wiary oraz podjęcia ryzyka i trudu w budowaniu świata według swojego zamysłu. Bo, jak podkreśla, „hodujemy zaledwie domysł / uskrzydlen” (*ciasnota*), nie umiając wzbudzić w sobie odwagi do stawania się *homo agens*, istotą działającą i

Elżbieta Cichła-Czarniawska MOJA SOWA ŚNIEŻNA



żyjącą pełnią swoich możliwości. Z tematem tych rozważań ząębia się równieŹ problem samotności. Jednostka wciąż boi się skonfrontować ze światem, z ludźmi żyjącymi obok, i dlatego nie może do końca poznać siebie i Drugiego (*Gruda*). Rewersem tej sytuacji jest z kolei niebezpieczeństwo zbytniego porównywania się z kimś, a nawet próba dopasowywania swojej osoby do życia innych. W *wypełnianiu przestrzeni* pada takie ostrzeŹenie: „wstaw do jej chłonnego wnętrza / sygnały które idą ku tobie / z powierzchni i z głębi (...) wstaw ostroŹnie cudze życie / spróbuj je zrozumieć i oswoić / ale nie chciej się z nim utoŹsamić”. Wiarygodność rodzą więc otwartość i odrębność - chłonięcie rzeczywistości całym sobą z umiejętnością oddzielenia tego, co tylko do mnie przynależy, co świadczy o mojej wyjątkowości. Podmiot liryczny nawołuje do wkroczenia na ścieŹki dobre i pełne światła czyniąc to w sposób cichy i delikatny. Na pewno nie rezonuje i nie narzuca swojego zdania, o czym świadczy nie tylko ton wypowiedzi, ale to, iż częściej ukrywa się za słowem, czy wręcz staje się słowem. Myśl zostaje tutaj nie tylko zwerbalizowana, ale i zaszyfrowana dzięki temu, iż ubrana jest w bogatą siatkę znaków i symboli. KaŹdy więc może odczytać ją przez pryzmat własnych doświadczeń i osobowości.

Autorka wie, iż nic nie jest czarne albo białe, ale opalizuje różnymi barwami, znaczeniami, co też odzwierciedla się w jej poezji. ToteŹ jej liryczne „obmyślanie świata” zawiera się między tezą a antytezą, między tak a nie, wiem i nie wiem. Nie boi się też dotykać miejsc pustych, chwil jeszcze nie wypełnionych i tych, co stanowią juŹ tylko „ciemne ślady naszych ludzkich wahań” (*wypełnianie przestrzeni*). W nich równieŹ człowiek staje się człowiekiem, uczy się słuŹać siebie i głosu świata. Tutaj krystalizują się myśli, pulsują uczucia zanim zakrzepną w jeden niepowtarzalny kształt, zanim zostaną zaakceptowane, a później wyrażone. I znów, *nolens volens*, nasze rozważania dotyczą słowa, tej bardzo żywej cząstki poezji Cichli-

Czarniawskiej. Ono jest tutaj tworzywem i narzędziem opisywania świata, wyrażania go i jest tworzone - i jeszcze dodając za P. Sanetrą - wchodzi w ścisłą interferencję z istnieniem i rzeczywistością

z niewielu liter wonnego słowa

„kosodrzewina”

wywiódłes pulsujący tłum

n i e s p o k r e w n i o n y c h

teraz wypada z nim się liczyć

(gra towarzyska w czasie podróŹy).

Wypada więc się z nim liczyć i doceniać, jednak jego moc kreacyjna ma swoje granice. Językiem można nazwać, ale smakować świat jedynie zmysłami. Kolejne wersy składają hołd temu co „z oddali woła o Ź w i o n e / ociekające ciepłym deszczem”. Taka jest właśnie ta poezja: zachwyca się kaŹdym najmniejszym przejawem życia, dociera do źródeł piękna i dobra, które wciąż gdzieś obok nas biją, choć często nie dostrzeŹone. Ich delikatne tętnienie można poczuć z pomocą poetki, prowadzącej wprawnie czytelników traktem zwanym życiem. Dotykamy kolejno bólu, strachu, szczęścia, przemijania, wiary ukazanych w różnych konstatacjach i konfiguracjach. I choć przepływające pod wierzchnią warstwą tych liryków nurty: kulturowy, egzystencjalny czy metafizyczny niepokoją, niosą też ukojenie i budzą do optymistycznej refleksji. A w (roz)poznaniu świata pomoŹe nam z pewnością śnieżna sowa, która gdy trzeba, poskrobie niezadowolona pazurkiem w nasze sumienie lub głośniej huknie. Warto ją tylko w sobie obudzić.

ElŹbieta Cichla-Czarniawska, *Moja sowa śnieżna*, Lublin, 2006, s. 90.





MARCIN DYDYŃA

Miejsca bez imienia

Wrastam w swoją rolę
 jak wrasta się w obcą ziemię.
 Tu czarne ptaki
 krzyczą jednym głosem.
 Krupier odwraca znaczone karty
 na właściwą stronę.
Czekam od trzydziestu lat.

Wracam do miejsc,
 w których nigdy nie byłem,
 do twarzy,
 których nie da się zamknąć
 żadnym szkicem,

gdzie splajtowały domy pogrzebowe.

Na jedne skrzypce

W karczerze poranka zawieszona pętla
 nie pozwala zapomnieć o grzechach
 śmiertelnych jak bezimienna miłość.

Na szubienicy popołudnia tli się iskra,
 samotna spopiela serca.
 Przez świat przenika deszcz drzazg,
 poranione twarze milkną.

Na zgliszczach nocy odradza się nowe,
 nieznanne, niechciane,
 bez zahamowań i sumienia.

Senne miasta

Nic nie jest tak piękne,
 by tego nie porzucić.
 Każdą realność dotyka skaza.

Progi opery są zbyt strome
 dla karła w czarnym podkoszulku,
 z książką za pasem.

Tutaj wymaga się starannie
 zawiązanych uśmiechów,
 białych kołnierzyków, sztywnych
 manier.

W nowej poezji nie powtarza się słów
 ani wersów,
 nie powtarza się słów ani wersów,
 nie powtarza się marzeń
 nie powtarza się tych samych

błędów.

Gdzie zmowa milczenia płacze się w
 snach,
 tam odwaga jest przekleństwem
 sumień.

Nie wrócę do tych uśpionych miast,
 w których eutanazja miłości
 na zawsze wymazała moje imię.

Tombak

Książę,
 piękny masz zamek,
 szaty i komnatę
 pełną złotych snów.

Nie dosięga cię strach,
 czarna choroba,
 ani pełzający głód.

Nawet ja.

ANNA SOKÓŁKA

ZAPISKI KLASZTORNE

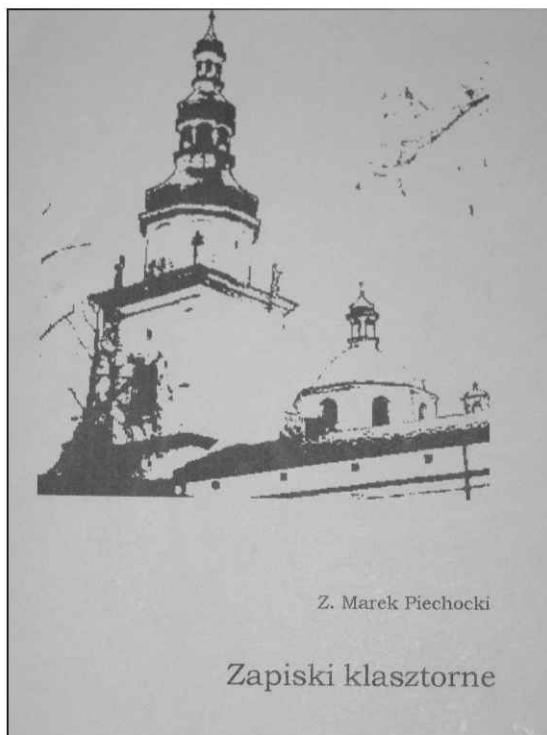
Poezja Zygmunta Marka Piechockiego jest dowodem talentu i wyobraźni artysty. Jest to poezja oparta na słowie, starannie wyważona, gdzie każde słowo znaczy. Jest w znacznej mierze dynamiczna, ale ma też inny kształt. Jest w nim bardziej plastyczna, malarska, jak wiersze o Arkadii poety - Łośnie. Znajdziemy w niej bogaty spłot tematów i motywów: wzniosłość życia, miłość, nieodłączne im: samotność, prze-mijanie i śmierć, i niosące ukojenie: sacrum, natura i sztuka, zwłaszcza muzyka (*chopinowe nutki*). Jest to liryka dojrzała, opatrzona głęboką refleksją, poszukująca, nastrojowa, zmysłowa i ciepła. Na jej kształt wpływa wrażliwość poety, również ta muzyczna i plastyczna. A jej twórca, patrząc na świat oczami filozofa, poetyckim słowem formułuje myśli, jakich niejednokrotnie nie potrafimy ogarnąć, ubrać w słowa, wyrazić.

Najnowszy, siódmy już zbiorek poezji

Zygmunta Marka Piechockiego *Zapiski klasztorne* powstał w styczniu 2008 roku w Klasztorze Dominikanek w Świętej Annie. Ten skromny objętością i nakładem, estetyczny edytorsko tomik jest dziełem rąk autora.

Tytułowe zapiski to dziewięć zespojonych w cykl wierszy, które są świadectwem wywołanej duchem miejsca (*genius loci*) wewnętrznej przemiany podmiotu lirycznego. Dręczy go niepokój, jest przytłoczony świadomością przemijania. Atmosfera klasztoru działa nań kojąco („Udziela mi się spokój tego miejsca”; wiersz 2). Sprzyja kontemplacji. A może modlitwie? To czas, który „*podarował mi Najwyższy*” - wyznaje.

Posługując się językiem symboli poeta ukazuje przemianę światopoglądową podmiotu lirycznego od postawy pesymistycznej („Czytam wiersze Sylwii Plath / słucham muzyki Piotra Czajkowskiego”; wiersz 4) po wewnętrzną harmonię. Ekspresją jego poszukiwań są wyrwane z zeszytu kartki. Znicze zapalone na grobie nieznanego



Z. Marek Piechocki

Zapiski klasztorne

żołnierza to symboliczne włączenie się w metafizyczny łańcuch łączący żywych i umarłych. Targana wiatrem „wielka płachta szarych ptaków” i *ożywający* krzyż to symbole odradzającej się wiary. Podmiot liryczny godzi się z Boskim ładem świata. Odnajduje radość tworzenia („Cieszę się każdym wersem”; wiersz 5). Na nowo odkrywa sens i piękno w najdrobniejszym Bożym dziele. Stąd zdziwienie: „Jakże / jednak / niewiele potrzeba ludziom” (8. *Spostrzeżenia ze spaceru po łąkach i polach*). Zatem piękny i pogodny liryk zamykający tomik nie bez powodu opatrzony został utworem zatytułowanym *Consolation nr 3 Des dur* Franciszka Liszta.

*Tamte dni
naznaczone kontemplacyjnym pojednaniem
z upływającym czasem
wędrownkami w okolicy poznawania siebie
podarował mi Najwyższy*

*Pod białymi habitami
czarnymi welonami
znajdowałem Jego uśmiech*

Poeta prostym, ale pojemnym znaczeniowo, językiem opisuje różnorodne stany duszy ludzkiej. Wyrazistości tej poezji nadają sugestywne obrazy. Przykładem zmetaforyzowany wiersz 7, czy wręcz dosadny w poetyckim obrazowaniu - w kontekście całych *Zapisków klasztornych* - wiersz 4. Jej atutem jest też nastrojowość oddająca całą skalę uczuć podmiotu lirycznego od pesymizmu po zachwyt dla otaczającej go natury. Przypisana wierszom muzyka swoim językiem potęguje nastrój, *dopelniając* poetyckiego obrazu. To taka niby-partytura. Warto te wiersze czytać przy muzyce, by przekonać się, jak jej język i

język poezji ze sobą korespondują, jak ekspresja muzyki Antonia Vivaldiego współgra z podniosłym nastrojem podmiotu lirycznego (wiersz 7), a utwór Fryderyka Chopina oddaje jego wewnętrzną harmonię (wiersz 8).

Cykl poetycki *Zapiski klasztorne* to dojrzałe studium duszy człowieka zmagającego się z bólem przemijania. Tomik ten wkładam więc do „szkatuły ludzkich losów”, jeśli mogę tą metaforą wyjętą z wiersza poety objąć ogrom ludzkich doświadczeń. I może warto przyjąć płynące z niego przesłanie, wejrzeć w siebie i, otwierając się na Boską rzeczywistość, spróbować odnaleźć wewnętrzny spokój.

Kończąc, chcę jeszcze za poetą napisać: „ciesze się każdym (jego) wersem”.

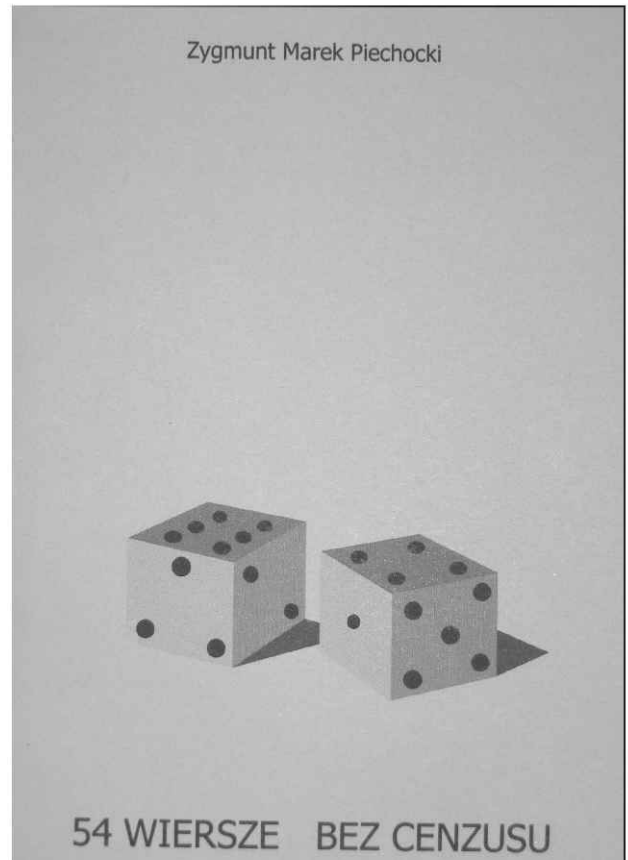


MONIKA DUDZIK

MYŚLI W MINIATURKACH ZAKŁĘTE

Wiersze Zygmunta Marka Piechockiego są proste. Swojskie takie. Przekaz mają jasny i czytelny. Autor pisze o sprawach bliskich chyba nam wszystkim o upływającym czasie, potrzebach serca i duszy, o samotności...

Jestem po lekturze trzech jego tomików *54 wierszy bez cenzusu*, *Zapisków klasztornych* i *Moich herezji*. Trudno mi w zasadzie napisać o każdym z nich z osobna, ponieważ tematycznie są ze sobą mocno powiązane. Ukryć nie sposób, że poeta to człek głęboko i szczerze wierzący, ale też momentami w wiarę tę powątpiewający. Wątpię, więc jestem. Żyje. Wątpliwości są miarą mojego człowieczeństwa. Nie jestem doskonały. Błądzą. Szukam. I, mimo wszystko, to właśnie w Bogu czy drugim człowieku znajduję spokój. Spokój daje mi siłę. Czasem chcę pobyć sam na sam z Bogiem. Ze sobą. Zamknąć się za klasztornymi murami i pozwolić, aby ich chłód i klimat przeniknęły moje trzewia. Aby w ciszy, ukojony spokojnym, miarowym rytmem zakonnego porządku dnia, mógł pomyśleć, wyciszyć się, pomedytować. Aby mógł

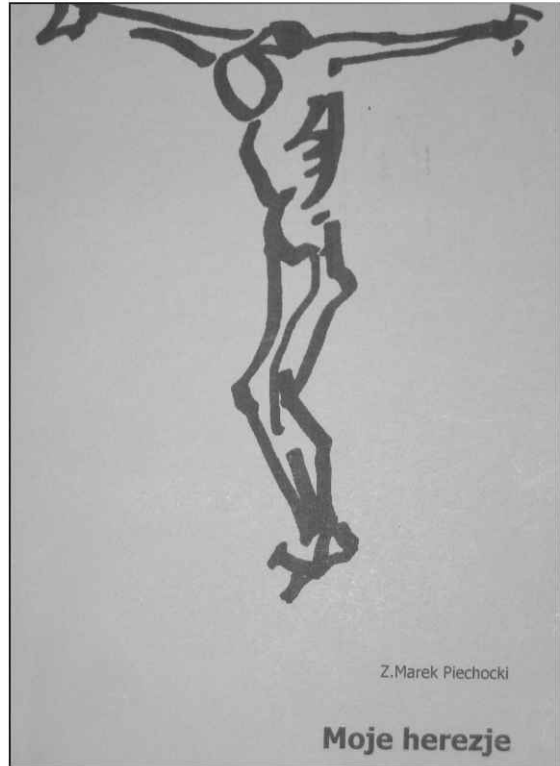


wrócić do „normalnego” trybu funkcjonowania i abym na nowo dostrzegł otaczających mnie ludzi. Abym pamiętał o tych, którzy odeszli i teraz spoglądają na mnie z naznaczonych sepią starych fotografii...

Piechocki ma dystans nie tylko do otaczającego go świata, ale przede wszystkim do siebie. To nie lada sztuka do opanowania. Pomiedzy wersami nietrudno wyczytać, że nieco w życiu przeszedł, że nie zawsze miał pod stopami dywanik z płatków róż, częściej z kolców. Mówiąc już całkiem trywialnie, los niejednokrotnie przyłożył mu kopniaka w miejsce, gdzie plecy tracą swoją szlachetną nazwę. A może to tylko moje subiektywne odczucia? Może czasem te wiersze są zbyt dosłowne? Może delikatny woal przydałby im większej szczypty tajemniczości? Tu znów mój subiektywizm nie zawsze lubię rzeczy powiedziane do końca, czasem wołę trzy kropki lub znak zapytania. Ktoś jeszcze tak ma?

Poeta przypomina czytelnikowi, że radość należy czerpać nie tylko z rzeczy wielkich i mocno uduchowionych. Sam ma ostoję w przyrodzie, do której często nawiązuje. Las, pachnący las. Świergot ptaków, piękny zapach powietrza...

Warto popробować tej poezji, byle nie na raz, nie jednym haustem, gdyż traci wówczas



Z. Marek Piechocki

Moje herezje

swój urok. Niech te książeczki leżą gdzieś na biurku czy komodzie, niech będą po prostu pod ręką i kuszą. Jeśli smakować poezję, to tylko kawałeczek po kawałeczku, bez pośpiechu... Bo gdy się człowiek śpieszy... Sami zresztą wiecie... Delektujcie się zatem...



JÓZEF BUDZIŃSKI

Nawet wiara choć czyni cuda
ma swój kres
a cóż mówić
o nas

Czy kartka
papieru to
kosmos
może oddech
może kropla
wody
może po prostu
słowo
proch

Czy moje ciało
myśli Tobą
czy to Ty
w moim ciele
czy mną jesteś
a ja w Tobie
moje ciało jest niebytem
więc czymże jestem
bez Ciebie

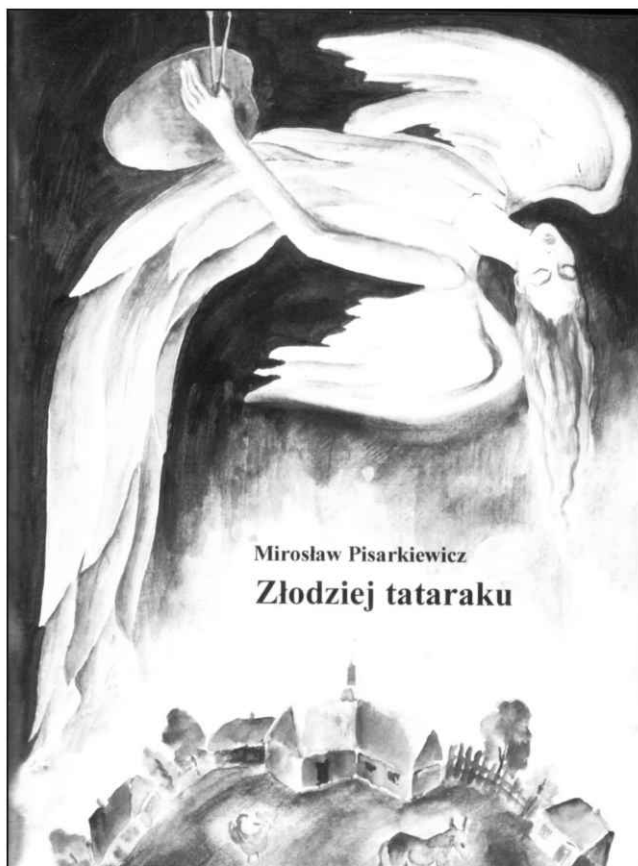
NIEZWYKŁE ŚWIATA PODGLĄDANIE

Nowa książka Mirosława Pisarkiewicza *Złodziej tataraku* to rzecz niewątpliwie godna uwagi, przy której nudzić się nie można. Teksty wpisujące się do tego zbioru układają się tematycznie w spójną logiczną całość nie rżąc dysonansami treściowymi, czy też formalnymi. Na pewno liryki te nie stanowią poetyckiego monolitu, to raczej swoisty *patchwork* utkany z materii werbalnej, pełnej barwy i migotań. Nie, żeby od razu były to wiersze zbyt słodkie. Autor umiejętnie dobiera znaczenia tak, aby proporcje między poszczególnymi składnikami zapisu były wyważone. Nie znajdziemy tutaj też waty słownej, zbędne słowotoku. Kiedy trzeba, autor popuszcza cugle rozpasanym wersom, ale wie, kiedy je powściągnąć, co świadczy o umiejętności panowania nad strofoidą. Otwierając kolejne strony tego lirycznego notatnika zapisanego emocją i wzruszeniem odnajdujemy imponderabilia, od których często uciekają współcześnie poeci, hołdując lingwistyczno-eksperymentatorskim udziwnieniu. Chwała tym, którzy, mimo pojawiających się innowacji i mód artystycznych, zachowują własny styl, przeskakując wielkim susem to co „obce” i narażając się tym często na admonicje i ofukiwanie. O tym, że warto i że często (bo na pewno nie zawsze) świadczy to o oryginalności i świeżym poetyckim zaśpiewie przekonamy się czytając nowy tomik wierszy Mirosława Pisarkiewicza.

Motywy przewodnim pojawiającym się kilkakrotnie w *Złodzieju tataraku* jest postać Beatrycze, istoty pięknej, budzącej w podmiocie lirycznym różnorodne refleksje. Kim ona jest dla niego? Kobieta wymagowaną, uosobieniem prawdziwej (jego) kobiety? A może, po prostu, Beatrycze, której osobę sobie upodobał do adoracji? Tego się nie dowiemy, i dobrze, bo być może wtedy przekaz straciłby znacznie na swej wartości. Pewne jest tylko

to, iż dama ta zaprzęta wyobraźnię, a może i serce mówiącego, jest przedmiotem jego uwielbienia i wyobrażeniem prawdziwego piękna. Teksty traktujące o Beatrycze zdecydowanie wyróżniają się w tomiku ze względu na to, iż są niezwykle frapujące i napisane w stylu akwaticznym, ponieważ pełno w nich ruchu i zmienności. Pociągnięte do tego wyrazistą i subtelną kreską stanowią bogato zdobioną ramę dla pozostałych liryków. Autorowi udało się połączyć tutaj intelektualny szlif ze stroną emotywną, co często jest trudne do zrealizowania. Oprócz zgrabnej oprawy formalnej jest i bogactwo warstwy tekstualnej, przesyconej refleksjami egzystencjalnymi (uczuciami, zachwytem nad życiem, samotnością). Piękno koegzystuje z uczuciem braku, pulsujące życie ze stagnacją - Beatrycze zrezygnowana mówi: „...i na cóż mi ta cała wolna wola / kiedy nie panuję nawet nad snami / mówi cicho / odgarniając z czoła niesforny kosmyk” (*Okno Beatrycze*). Podmiot liryczny zdaje się współodczuwać wewnętrzne dylematy kobiety, kiedy podglądając ją przez uchylone drzwi, oprócz wzruszenia porównanego do „kwiatowego zegara z Genewy” czy „trzynastej części światła”, dozna i takiego, które jest jak „pusta klatka po przekwitłych światach” (*Beatrycze i cień*).

Obok interesującego cyklu wierszy o Beatrycze pojawia się kilka drobnych utworów, które można by nazwać krotocwilami, niezwykle uroczymi lirycznymi zapiskami, nośnymi artystycznie i z dobrym konceptem. W sposób mistrzowski skomponowany jest np. tekst *Marynarka*, gdzie zastosowany został tzw. „korelat obiektywny”, polegający na przekazaniu uczucia za pośrednictwem przedmiotu. Mamy tu emocje, nastrój i obraz, a wszystko to powiedziane bez egzaltacji i krzyku, dzięki czemu kontekst wiersza jest wyraźny i zapadający na długo w pamięć.



Mirosław Pisarkiewicz
Złodziej tataraku

*Zrudziała od snów
siedzi radośnie na drewnianym krześle
sztruksowa marynarka
Feliksa Rajczaka
z pisanym na splachetku mgły
wierszem
drzemiącym w serdecznej kieszeni.*

Mimo radości popiskującej w tej miniaturze pojawia się też pewien odcień smutku wywołanego świadomością nieobecności poety: właściciela sztruksowej marynarki i wiersza, który się po nim zachował. Oprócz podobnych temu tekstów pojawiają się takie, które pretendują do określenia ich mianem haiku, niezwykle zwięzłe i błyszczące celną, oryginalną myślą, np.: „ściąłem topolę / zamieniłem jej czas / na rozedrgane ognisko” czy „brzemienny / twoją miłością / rodzę pożądanie”. Wiersze te stanowią bardzo dobre przerywniki od dłuższych fragmentów lirycznych Pisarkiewicza, pozwalając czytelnikowi

odpocząć i nabrać energii do dalszego zmagania się z materią słowa. A z pewnością czytelnicza przygoda szybko się nie skończy, gdyż w zbiorze znajduje się jeszcze wiele ciekawych wierszy, którym warto poświęcić kilka dłuższych chwil. Pochylać się będziemy między innymi nad wierszami traktującymi o rodzicach podmiotu lirycznego, bogatymi w refleksję nad przemijaniem i wspomnianiem tych, co już odeszli. Po stracie ojca świat wyblakł, stracił na wartości i przeraża smutkiem oraz pustką.

*Gdy tata zgasł
Świat
Przestał być rzeźbiony z uśmiechu*

(Tato)

W wierszach tych zaznacza się przede wszystkim silna emocja i uczucie ogromu miłości, czego przykładem jest dramatyczne, acz ciche, wołanie za bliskimi. Taką sytuację obserwujemy choćby w wierszu *Buty*, stanowiącym świadectwo silnego przywiązania syna do ojca, które przetrwało nawet po śmierci rodzica i dyktuje podmiotowi lirycznemu takie oto słowa:

*Na tamtą stronę tata poszedł
W moich pantoflach
Ja zostałem w jego*

Wydeptuję po nim ślad

Przez warstwę tekstów zogniskowanych wokół tematów trudnych i ważkich przebliskują treści lżejsze, choć nie pozbawione zahaczeń o kwestie istotne, dotyczące się w dużej mierze kondycji ludzkiej. Egzemplifikacją tej tezy jest choćby wiersz *Spowiednik*, nb. będący dla mnie jednym z najlepszych tekstów zamieszczonych w tym tomiku. Pojawiają się w nim feeria obrazów roziskrzonych barwą i światłem oraz wyjątkowa dbałość o rejestr szczegółu. Wśród takiej scenerii, po rozbieganych na podłodze plamach kolorów rzucanych ze świętych obrazów

czy witraży, stąpa leciwy prałat modląc się:

Za tych

którzy ni wiedzą co czynią

i nie widzą aniołów w pęknięciach podłogi.

Równie dobrze prowadzone są wersy w wierszu *Zmierzch* zaczynającym się od ciekawego incipitu:

dzień ukrywa się

w kieszeni nocy

Dalej mamy równie dobre metafory i słowne zestawienia, np. : „ptaki składają skrzydła / w przedostatni śpiew” czy „wychudli bogowie / jak zapomniane światło na podłodze”. Opis momentu kiedy dzień chyli się ku nocy, budzi u podmiotu lirycznego obawę, jakiś bliżej nieokreślony lęk „bezgłośnego uciekania cienia w cień”. Ładnie została nakreślona korespondencja uczucia z oddziaływaniem przyrody na psychikę człowieka, mająca tutaj głębsze egzystencjalno-metafizyczne podłoże.

Íście tropicielski zmysł obserwatora pochylającego się nad pięknem drobiazgu czy łapiącym w sieć emocji wyjątkowość ulotnej chwili ma miejsce także w tekstach traktujących o dziełach sztuki. Wydaje się pojawiać tutaj technika *poesis et pictura*, malarskie ujęcie kontemplacji nad obrazem, czy choćby (nie)zwykłą pocztówką wyglądającą jak „plama na ścianie niczym z fotografii Saudka” (*Pocztówka z Knossos*).

Ale może wystarczy już lukratywnych opinii, aby nikt nie pomyślał, że nie doszukałam się w tym tomiku żadnej istotnej skazy. A mianowicie jest kilka wierszy w ogóle nie pasujących do całości, napisanych jakby tylko po to, żeby sobie tutaj egzystowały. Rażą w nich rymy np. raj - skraj, Eurydyką - muzyką, smak brak, dno - zło (*Femme Fatale*), niekonsekwencje wersyfikacyjne - skutkiem czego często łamie się rytm i ogólnie słabiutki przekaz. Na przykład wiersz *Rodowo* nie byłby taki zły, gdyby nie refren:

To nie jest żaden raj

To tylko garstka marzeń

Oparta o modlitwy skraj

Burzy on wewnętrzną strukturę tekstu, bo jeśli pierwszą zwrotkę czyta się jeszcze ze spokojem i powagą, w refrenie krótsza strofoida i rymy męskie czynią z tego melodyjną przyspiewkę, którą można czytać z radosnym przytupem. Jako piosenka być może tak, ale jako wiersz zdecydowanie nie. Podobnie skonstruowany jest *Czas Apokalipsy*, gdzie, oprócz nieudanej konstrukcji, za dużo tu egzaltacji i krzyku. A o końcu świata przecież tak cicho i łagodnie można śpiewać, chociażby tak, jak niegdyś Czesław Miłosz w *Piosence o końcu świata* to czynił. Ogólnie wszystkie wiersze pretendujące do miana klasyków są tutaj nieudane. Aby pisać takie teksty trzeba budować efektowne rymy, niebanalne, świeże. A to bardzo trudne i wymaga wiele pracy. Jednak można autorowi wybaczyć tę drobną usterkę, zważając, iż na tle całości takie delikatne zgrzyty większego znaczenia nie mają i można na nie przymknąć oko.

Po lekturze wierszy Pisarkiewicza ma się poczucie, iż wiele się zyskało, a czasu nie straciło. Poeta w jednym z liryków mówi takie oto słowa: „a może byłem tylko zwyczajnym złodziejem tataraku?” Nie wiem, ale być może trzeba być takim złodziejem tataraku, aby umieć wykraść światu jego najskrytsze tajemnice, a poezji jej najczulsze rejestry? Temu Panu to się udało i poczynił to w sposób subtelny i szczerzy, za co należy mu się serdeczny uścisk dłoni i czoła pochylenie.

Mirosław Pisarkiewicz, *Złodziej tataraku*, Piła 2007, s. 56.



To nie jest wioska cudów



ODYS KORCZYŃSKI

* * *

Cały wieczór siedział pod stołem
 Wąchał ich uda
 Całował buty
 Wystawiał głowę po ochłap śliny
 z wigilijnym smakiem trawionego alkoholu

Wyszedł na śnieg
 Przywitała go mokra
 dziecięca
 bez piersi
 Jak strach na wróble zrobiony ze szcurów
 na którym się powiesił
 nie za ręce i nogi
 Za żebra
 rozkosz swojego łona
 by szybciej go zjadły

Wtedy pójdzie z nimi
 obdarty z przyrodzenia
 nieczynny

* * *

Poszli tam gdzie rosły drzewa
 Z wiatrem rozmyli się w powietrzu
 Na szarym niebie został ślad ich ucieczki
 Złośliwy grymas w którym odeszli
 Tam gdzie rosną samotne
 Butelki
 pili z gwinta
 Wtedy zlizął jej wódkę z paznokci
 Przestał żyć
 zostawiając ją przy pniu
 swojego drzewa



KARL GRENZLER

Sarcedos Dei

Modliłem się w wymyślonej kaplicy
 ze zwietrzałych kamieni piramid
 gotyckiej cegły

Szukałem nazwy dla nowej planety
 na którą kiedyś wyruszymy

Rysowałem plany arki
 zbierałem technologie i materiały
 które stawia czoła trudom dalekiej podróży

Stałem codziennie przed kamieniem
 ofiarnym
 nakładając maski na posąg jedyne go
 który jest

Nuciłem liturgię słowa
 ze strzępów filozofów

Składałem ofiary
 z radości śmiechu oczekiwań
 wina i chleba powszedniego

Czekałem na znak
 cud potwierdzenie
 Teraz,
 teraz nie potrzebuję już czeka

Chronos

z niepokojem spoglądam
 na zegar
 wskazówki przesuwają się
 czas ucieka nieuchronnie
 przecież wiem że
 go nie ma
 jest tylko rozpad
 materii

czy wieczność jest
 jej brakiem?

PAWEŁ ŻOCHOWSKI

GENERACJA JERZEGO KRZYŻANOWSKIEGO

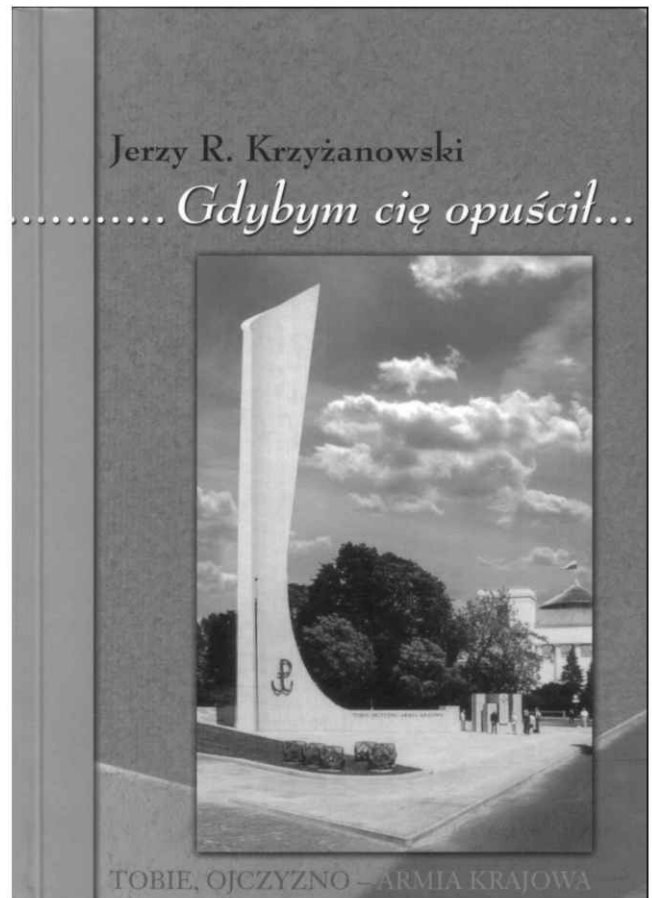
Jerzy R. Krzyżanowski jest autorem wielu powieści, opowiadań, esejów oraz prac krytycznych. Zaistniał nie tylko na rynku polskim, ale także za granicą m.in. w Anglii, Austrii, Niemczech, Francji, Kanadzie i w Stanach Zjednoczonych. Jego dorobek literacki został doceniony przez Związek Pisarzy Polskich na obczyźnie, a on sam został uhonorowany Nagrodą Literacką im. Bolesława Prusa w 1998 i 2006 r.

Wydana w 2007 roku powieść *Gdybym cię opuścił...* rozpoczyna się od ewakuacji mężczyzn z Warszawy. Główny bohater, siedemnastoletni Stanisław Ziemiński, na rozkaz pułkownika Umiaszowskiego, wraz ze swoim ojcem opuszcza stolicę, by udać się do swojej ciotki do Lublina. Wędrówka z ojcem nie trwa jednak długo. Po messerschmittowskim nalocie ginie Ziemiński, a młody Stanisław, wraz z plutonem saperów, udaje się w dalszą drogę. Tutaj, po namowie kaprala Matusiaka, zgłasza się jako ochotnik do armii. Na razie nieoficjalnie, lecz wkrótce jego drogi miały się bohatercko skrzyżować z regularnym wojskiem. Doskwierająca noga nie pozwala jednak na kontynuowanie marszu przy saperach i młodzieniec, pomimo niezadowolenia Matusiaka, odłącza się od wojska. Poznaje przy tym pannę Krysię i wraz z jej siostrą oraz z pomocą miejscowego mleczarza udaje się do Lublina. Nie zabawia tu jednak długo, gdyż męczone nalotami miasto nie nadaje się do normalnej egzystencji. Po namowie panny Krysi wyjeżdża do Lwowa.

To tutaj właśnie oficjalnie wstępuje do polskiego wojska, by jako snajper zasilić grono Lwowskich Orłąt. Po wkroczeniu Sowieców, zdemobilizowany, zasila szeregi konspiracyjnej Służby Zwycięstwu Polski odznaczonej Krzyżem Virtuti Militari miasta Lwowa, przekształconej później w ZWZ. Za działalność konspiracyjną zostaje zesłany w kwietniu 1941 roku. Po amnestii

zasila szeregi armii Andersa, by przedostać się do Włoch i heroicznie walczyć pod Monte Cassino.

Po wojnie Stanisław Ziemiński, rozczarowany sytuacją polityczną w kraju i brakiem kontaktu z matką, postanawia osiąść w Anglii. Tutaj kształci się i „szlifuje język”. Jednocześnie zanikają u niego odruchy patriotyczne i religijne. Pochłonięty karierą i nowym otoczeniem gubi się egzystencjalnie, żyjąc „na kocią łapę” z Cheryl Campbell, u której wcześniej wynajmował mieszkanie. Wówczas na pomoc Ziemińskiemu przychodzi porucznik Wiśniewski, niegdyś przełożony i towarzysz broni. „Czyniąc mu wyrzuty sumienia” zachęca do odwiedzenia Ogniska Polskiego. Tak też bohater czyni.



Odświeżenie znajomości kombatanckich miało rozpocząć nowy etap w życiu Stanisława. Spotkania z polonią doprowadzają do zerwania stosunków z Cheryl, a także umożliwiają pracę w ministerstwie na stanowisku księgowego. Tutaj, za namową Wiśniewskiego, zgadza się na wykrycie nieprawidłowości finansowych popełnianych przez generała Tatara. Ten jednak, zdradzając, ucieka do Polski przywłaszczając trzy miliony dolarów. Ku zadowoleniu Ziemińskiego generał w wyniku tzw. „spisku w wojsku”, zostaje skazany na dożywocie za działalność w AK.

Praca w ministerstwie otwiera przed Stanisławem nowe horyzonty. Oto do Londynu przylatuje jego niedawny kompan broni, niejaki Żorka. Żorka osiedlił się w Kanadzie i bardzo szybko stał się potentatem części samochodowych. Jego firma zaczęła przynosić ogromne zyski, jednak brakowało w jej kadrach głównego księgowego. Namawia więc Stanisława do podróży na zachód. Ten, zawiedziony pobytem na wyspach, bardzo szybko ulega pokusie i wyjeżdża do miasteczka Windsor, położonego niedaleko Detroit. Tutaj poznaje Hannę Wysocką, z którą niebawem bierze ślub.

Mażeńskie życie nie przeszkadza Ziemińskiemu troszczyć się o swoją karierę. Bardzo szybko dostaje propozycję pracy na stanowisku zastępcy wiceprezesa w General Motors. Odtąd jego życie zmienia się diametralnie. Awans społeczny, jakiego doświadczył, przygotowuje go o zawrót głowy. Próbuje sobie przypomnieć, jaką drogę musiał przejść, by osiągnąć tak wiele. Drogę od przysłowiowego pucybuta (w jego przypadku syna szewca), do milionera. Zapomina przy tym o kraju, nie chce nawet słyszeć o Europie. Zafascynowany amerykańską rzeczywistością rzuca się w wir pracy. Wkrótce jednak ma się okazać, że podróż do Polski jest nie tylko możliwa, ale i nieunikniona. Dostając propozycję od zarządu decyduje się na reprezentowanie firmy w Polsce...

Jerzy R. Krzyżanowski na przykładzie Stani-

śława Ziemińskiego opisał losy całego swego pokolenia, personalnie zróżnicowanego pod każdym względem. Pod każdym, ale w rzeczywistości świadomego swego patriotyzmu i miłości do Ojczyzny. Jednocześnie nie szczędząc pochwał dla uczciwych jednostek, nie omieszkał skrytykować zdrajców i tchórzy, którzy nad dobro kraju stawiali nie tylko swoje życie, ale niejednokrotnie własne interesy.

Stanisław Ziemiński w oczach czytelnika pojawia się jako postać tragiczna. Jest to jednak złudne. Zrozpaczonego można go jedynie zobaczyć w dwóch sytuacjach, po śmierci dwojga ukochanych ludzi: ojca i żony. W pierwszym przypadku jest jeszcze dzieckiem, a śmierć nadchodzi szybko i niespodziewanie. Tragizm tej sytuacji porusza czytelnikiem już na samym początku, gdy Ziemiński w drodze do Lublina uczy swego syna wiązania onucy, kiedy ten po długiej wędrówce nabawił się pęcherzy. Była to ostatnia rzecz, jaką ojciec nauczył młodzieńca. W drugim przypadku Stanisław spodziewał się odejścia żony, gdy ta osłabiona onkologicznie z wieloma przerzutami, przez kilka tygodni dogorywała swoich dni.

Sam Stanisław Ziemiński jest człowiekiem któremu wszystko się w życiu udaje. Sprzyjające szczęście poparte jest ogromem włożonej pracy. Wszystko to połączone z bardzo silną osobowością, czyni go niezwykle wyjątkowym, lecz nie bez wad. Te jednak autor wymawia Ziemińskiemu niezwykle rzadko.

Gdybym cię opuścił... nie jest tylko powieścią do przeczytania i odłożenia na półkę. To swoisty obraz bohaterskiej generacji, która praktycznie przez całe swoje życie była szykanowana i zniesławiana. To obraz Armii Krajowej i całej Polski Walczącej, który pozostawia głęboki ślad w umyśle czytelnika... na długo...

Jerzy R. Krzyżanowski, *Gdybym cię opuścił...*, Lublin 2006.





DANIEL KOWALCZYK

Teatr Niebo (Historia niemożliwa)

Kobieta - wąż

w moim śnie
 przypelzłaś
 cichym
 śliskim
 zimnym
 wężem
 otarłaś się bokiem
 o kaloryfer
 bezpośrednia próba nawiązania kontaktu
 <<iskry>>
 iskrzą się
 się coraz bardziej iskrzy świt w wymarłym mieście
 idę tamtędy i patrzę
 jak nikt nie wiwatuje na moją cześć
 idę tamtędy
 i widzę jak garną
 się szczury do nogawek moich spodni
 odpędzam się nerwowo
 a ty przypelazasz
 najbliżej
 jak tylko to możliwe
 i patrzysz
 tak litościwie, że
 jeszcze ciepłym mięsem macicznym
 ocieka ci spojrzenie

 krzyk spełnienia
 konwulsyjnym bezruchem
 zastyga mi w gardle

W teatrze Niebo Pan Bóg
 Się zdrzemnął
 I my mu się
 Przyśniliśmy
 Na firmamencie snu
 Grając swoje role; mężczyzna
 I kobieta
 W spektaklu bez nadziei zapisanej
 W didaskaliach
 Na poczekaniu składający swe
 Kwestie z puzzli słów
 Rozrzuconych na rozedrganych wargach
 I pozostający w tym chaotycznym
 Przedstawieniu
 Aż do momentu, kiedy
 Bóg się obudzi
 I
 Spadniemy
 Z
 Afisza

Grand Prix

Spuszczam ze smyczy mój wiersz
 Jest szybki
 Uważaj, może Cię dopaść
 I celnym ugryzieniem metafory
 Wyszarpać Ci kawałek pośladka
 Ten wiersz żywi się mięsem nieoznaczonych znaczeń
 Dlatego nie będzie merdać do Ciebie ogonem
 Przybiegnie i wyrwie Ci serce
 Jeszcze nie wiem jak je przyprawię



MARZENA PODKOŚCIELNA

Niespodziewanie... jesień

twój wzrok dotyka
chłodem
jak wygasły blask słoneczników
ciepło słońca
nie przywróci pełni lata
nawet
przyływ falujących bioder

nie ocala

nas

Zmierzch

na horyzoncie
zanika
dzień

cisza

tylko
wskazówki czują
drżenie
bezpowrotnego czasu

* * *

nie sobie danych
wszystko dzieli

świt
zmierzch
pragnienia
które mijają się ze sobą jak przechodnie
marzenia
różne jak kolory oczu

a jednak
powłóczysz spojrzeniem za mną
nasuwasz okulary

a jednak
nigdy ich dla mnie nie zdejmiesz



X. JÓZEF BAKA

Rada wszystkim stanom

(fragm. utworu *Uwagi śmierci niechybnej*)

Wszystkie stany
Naprzemiany
Upadajcie
Wyciskajcie
Z powieki
Łez rzeki,
Sędziemu
Świętemu.
Bożkie rany
Jako ściany
Niech zasłonią
I obronią

Każdego
Grzesznego
Od kary
Nim mary.
I Maryja
Niech niemija
Wnętrznosciami
Zasługami
Folgując,
Ratując
Człowieka,
Co czeka.

ZBIGNIEW SMÓŁKO

WIEŻA ŁEMKÓW

Niektóre przedsięwzięcia, zanim jeszcze zapoznany się ze szczegółami, budzą intuicyjną sympatię. Tak jest w wypadku zespołu Lemko-Tower. No bo tak: temat numeru: *Ech żizń...* Znaczy, że na wschodzie. A tu wcale nie, bo w Strzelcach Krajeńskich. Ale jednak ze wschodu, bo Łemkowie. Czyli w porządku, ale zaskakują.

Działalność księdza Artura Grabana wiele razy była przedmiotem zainteresowania mediów. Młody duchowny prawosławny, Łemko, z rodziny wysiedlonej z Bieszczad na zachód Polski w ramach akcji Wisła, zbudował wokół swojej łemkowskiej wspólnoty znaczący ośrodek kulturalny. Wyremontowali cerkiew, we współpracy z samorządem zaadoptowali pomieszczenia w malowniczej wieży (to właśnie ta Lemko-Tower), założyli stowarzyszenie, stronę internetową a także dziecięcómłodzieżowy zespół folkowy. Pierwsza płyta zawierała wschodniosłowiańskie kolędy, dwie kolejne zaś (w moje ręce trafiły jednocześnie) to nowy repertuar (świecki) oraz zapis nagrań koncertu.

Zapach wiosennego wiatru jest dokumentem fascynującym. Raduje zachowanie wielkiej prostoty środków wyrazu, charakterystycznej dla tych, co to nawet być może znają tylko kilka nieskomplikowanych akordów, za to dobrze wiedzą, co z nimi zrobić. Cieszy ucho niepodrabialna spontaniczność i autentyzm młodych muzyków, która sprawia, że porównania np. z popularną swojego czasu „Arką Noego” okazały się zupełnie chybione. 22-osobowa czereda tym co robi, bawi się świetnie. Wreszcie sam dobór materiału, pełnego zarówno melodii skocznych (testowałem w samochodzie ostrożnie z prędkością...) jak i kawałków bardziej emocjonalnych (z finalnym *Za horu sonce zabor'jaje* - moim faworytem na płycie) daje pojęcie o korzyściach płynących z poszukiwań i konserwacji dawnej tradycji muzycznej. Przyjemnością wreszcie samą w sobie jest wsłuchiwanie

się w melodykę języka łemkowskiego, z rozumieniem którego problemów nie mają nawet dzieci.



Lemko-Tower, *Zapach wiosennego wiatru* (*Zapach wiosnanoho wiatru*). 1. *Hory nasz hory*; 2. *A tam dolom pry jaroczku*; 3. *Idu domil idu*; 4. *Jak sobi zašpivam*; 5. *Lišom, lišom*; 6. *Ej pryđ do nas szuhaju*; 7. *Nese Hala wodu*; 8. *Pid oblačkom*; 9. *Czerez pole szyrokoje*; 10. *Tam u lišy*; 11. *Tecze woda*; 12. *Oj ne sama*; 13. *Za horu sonce zabor'jaje*.





MARIA KRYŃSKA - SZOSTAK

Półów

Chociaż ta zabawa na pierwszy rzut oka
Wygląda na kota i zwykłą mysz
Że zaraz mnie złapiesz na hak
Czy w intelektualną sieć
Mój syreni ogon połyskuje niemal jak twój
Błyszczycy przynęta, osobisty wdzięk

Więc pierwsze z twoich życzeń: ostry
I gorący seks, po drugie: ostry i gorący seks
Na koniec sen lub jeśli chcesz
Absolutną dam ci pamięć

Studium wszechświata

Cóż ci po kolorze moich oczu, krągłościach
Piersi, prężności mięśni pośladków, łydek,
ud?
To ślepa ścieżka ewolucji, widmo
Rozpadających się światów, czerwona
poświata
Zapadających się niebieskich konstelacji.
Pokochaj jedynie mój kosmiczny brzuch
O konsystencji miękkiej jak czarna dziura.
To tutaj rodzą się gwiazdy, planety
Myślące istoty
A światło na horyzoncie zdarzeń zapętla się
I biegnie po nieskończonym okręgu.



OSKAR SZWABOWSKI

El Consumento

wygoda kapci
seans łagodzi
prowieźienne przerażenie
powiadomościowe

fakty
potwierdzają kapcie
fotel jest najwygodniejszy
moja mała ojczyzna
o którą dbają wszyscy

wygoda kapci
ponura beztroska
wolnościowo narzuconej perspektywy
sens przetrwania zwanego życiem

Śpiew syren

uwodzony
przez przeszłość
nie ojców i nie matek
przeszłość bezpieczną
bezgraniczną
jak czasem te bezproduktywne
zapatrzania w przestrzeń
spoglądanie za horyzont
ponad podręcznikami fizyki
rządami wiecznych ławek
fabryczno-szkolnych

uwodzony
niczym młody kochanek
bez doświadczenia i nieopanowany
pałam nienawiścią do wszystkich krzeseł
każda pościel jest za krótka

mdli uwodzonego
płaskość codzienności
wytarte klisze filmów amerykańskich
skrupulatnie odgrywanych
pod bacznym okiem nieistniejącej
wszechwładzy

DOMINIKA JESZCZYŃSKA

EXIT OMÓWIENIE Z DYGRESJĄ

W nadesłanym do Redakcji EXICIE, kwartalniku traktującym o nowej sztuce polskiej (na co wskazuje podtytuł), szukałam momentów osobistych. Będzie to zatem recenzja emocjonalna.

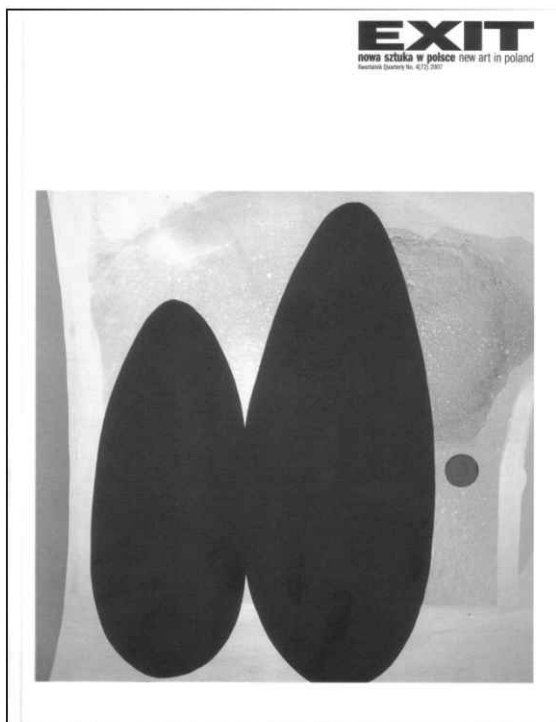
Kwartalnik już od lat przyznaje rozpoznawalną w kraju Nagrodę *EXIT*, którą w ubiegłym roku uhonorowany został Marek Ejsmond-Ślusarczyk artykuł Dagmary Babińskiej o tym „malarzu zanurzonym w beczasie” otwiera numer, który mam właśnie w ręku. Mnie, historyka sztuki, szczególnie ucieszyło uzasadnienie werdyktu: „za konsekwencję w tworzeniu własnego, niepowtarzalnego języka wypowiedzi oraz za nadzieję, którą dają jego obrazy, że we współczesnym świecie sztuki jest miejsce na malarstwo w najbardziej tradycyjnym tego słowa znaczeniu”. Laureatem tej samej nagrody był przed laty (1994) nieżyjący już znakomity malarz Eugeniusz Markowski. Omówienie przez Natalię Werbanowską dwóch warszawskich wystaw retrospektywnych artysty skłania mnie do osobistej refleksji.

Zapewne mało który mieszkaniec Radzyna Podlaskiego - niewielkiego miasteczka położonego na południowym skraju Podlasia - słyszał, w jakich okolicznościach Eugeniusz Markowski trafił do tutejszego gimnazjum. W jednym z wywiadów, który opublikowano na łamach „Sztuki” (4/88) opowiada, że na rok przed maturą (1 połowa lat 30.) został usunięty z katolickiego gimnazjum w Sokołowie Podlaskim i to nie z powodu trudności w nauce ale „pewnego dość, jak się okazało, kontrowersyjnego wypracowania z polskiego”. Znalazł się w sytuacji nie do pozazdroszczenia: „Nigdzie nie chciano mnie przyjąć, gdyż powody mojego zwolnienia były bardzo niejasne. Na szczęście jednak dzięki protekcji nauczyciela od polskiego dostałem się do gimnazjum w Radzynie Podlaskim. Była to szkoła koedukacyjna, do której przy tym uczęszczało dużo młodzieży żydowskiej. Tak więc dla mnie wychowanka pragmatycznych księży był to dość duży przeskok. Z początku czułem

się bardzo niepewnie, tym bardziej, że do Radzyna przyjechałem okryty nimbem tajemnicy, jako uczeń wydalony za „politykę”. Markowski przyznaje, że już wtedy pasjonowało go malarstwo, a ponieważ w miasteczku „rozniosło się, że potrafi malować”, pojawiły się pierwsze zlecenia. Myślał o studiach w tym kierunku i wkrótce po zdaniu matury złożył dokumenty na Akademię Sztuk Pięknych w Warszawie.

Artysta zawsze z sentymentem wspominał swój „radzyński epizod”. Opowiadał o nim wiele lat później podczas słynnych „plenerów końskich” w Janowie Podlaskim. Tak wieść dotarła do uszu mojego ojca, Marka Leszczyńskiego. W Radzynie akurat inicjowała swoją działalność nowa Galeria ORANŻERIA. Potrzebowała „mocnego wejścia”. Leszczyński podsunął wtedy ówczesnemu dyrektorowi Radzyńskiego Ośrodka Kultury, Bogdanowi Sozoniukowi: „Zaprośmy Eugeniusza Markowskiego!” W latach 90. dużo mówiło się o jego twórczości a galerie zabiegały o wystawianie prac artysty. Mogło się wydawać, że szanse na zorganizowanie takiej ekspozycji w małym prowincjonalnym miasteczku są mizerne. Tymczasem Markowski bardzo się tą propozycją ucieszył, co więcej - wyraził chęć odwiedzenia Radzyna, odbycia niecodziennej podróży sentymentalnej do miejsc, których nie widział od lat kilkadziesiąt. Mój ojciec wspomina wizytę w jego warszawskim mieszkaniu, dokąd pojechał w towarzystwie Bogdana Sozoniuka i Grażyny Regulskiej. Gospodarz okazał się niezwykle gościnnym, otwartym i kulturalnym człowiekiem. Pokazał swoje prace, szybko ustalili szczegóły wystawy. Markowski rozumiał, że powstająca Galeria może borykać się z ograniczeniami natury finansowej, nie liczył więc na katalog a prosił jedynie o druk eleganckiego zaproszenia.

Pamiętam styczniowy wieczór 1996 roku i wernisaż wystawy malarstwa i rysunku Eugeniusza Markowskiego. Artysta przyjechał do Radzyna na parę czy może kilka dni. Zrobiły na nim wrażenie piękne wnę-



trza XVIII-wiecznej Oranżerii, w której prezentowane były prace, zaskoczył wysoki poziom edytorski katalogu projektu Grażyny Regulskiej. Oprócz reprodukcji

znalazły się w nim także odautorskie wypowiedzi Markowskiego i teksty krytyków. Na otwarciu barwnie opowiadał o Radzynie lat 30. Wiem również, jak bardzo cieszyły go piesze wycieczki ulicami miasta. Towarzyszył mu Marek Leszczyński, który dzisiaj wspomina: „Oglądałem Radzyna jego oczami, za każdym rogiem czaiła się jakaś niesamowita opowieść. Markowski przywoływał ludzi, których już nie ma koledzy z czasów szkolnych, żydowscy sklepikarze, teatr objazdowy gdzie zatrudniano go jako charakteryzatora”. Rozmawiali też o sztuce: Markowski ujawnił niezwykle talent pedagogiczny, udzielał m.in. wskazówek odnośnie malowania na folii. Oczywiście nie odmówił spotkania z licealistami, i nawet przeknął zadane z rozbrajającą szczerością pytanie jakiegoś ucznia: „Dlaczego Pan tak brzydko maluje?” Owocem radzyńskiej wizyty Eugeniusza Markowskiego był półgodzinny dokument, nakręcony przez telewizję WOT.

EXIT. Nowa sztuka w Polsce, nr 4, Warszawa 2007.



ALICJA ZEMANEK

Zegarmistrz

Zegarmistrz
nakręca srebrne kółka
miasto rozpedza się o świcie
ruszają tramwaje ulica
tyka krokami przechodniów

zegarmistrz w czarnym ubraniu
kto sprawdza wywrotowe myśli
wsączane w mózgi zegarów

godziny szaleństwa sprzedawane
w złotych kopertach niepotrzebne miłości
drapieżne minuty śmiertelną epidemię
rozsiwaną bakteriami sekund

Serce to samotny dom

Serce to samotny dom na rozstajach
podejdz bliżej w oknie pali się lampka
starzy rodzice wypatrują gwiazdy
garstka siana pod śnieżnymi polami obrusa

przy stole tyle ludzi roześmiane dzieci
młodzi chłopcy mężczyźni każdy z nich
jest tobą
tej nocy zasiadacie wszyscy do wspólnej
wieczery

na przeciw siebie siedzisz starszy o
piętnaście lat

przebacz sobie chociaż dawno marzenia
wyśmiałeś
uśmiechnij się do siebie choć pragnąłeś
śmierci

serce to samotny dom na rozstajach
zapal światło nad drzwiami
niech rozświetla noc

JACEK JEJMAN

O DWÓCH POSTAWACH INTELEKTUALISTY WOBEC ŚWIATA

Jaki winien być stosunek intelektualisty do świata, który go otacza? Omawiane dwa tomy „przeglądu filozoficzno-literackiego” pokazują dwie postawy, jakie może on przyjąć: nie uczestniczącą (indywidualistyczną) i uczestniczącą (poszukującą). Wyznawcą pierwszej zdaje się być wybitny pisarz niemieckiego pochodzenia Hermann Hesse (1877-1962), drugiej zaś polski filozof o światowej sławie Leszek Kołakowski.

Numer poświęcony Hessemu składa się z pięciu części. Pierwsza z nich zawiera teksty bohatera tomu, druga rozprawy jemu poświęcone lub zbliżone tematyką do problemów poruszanych przez Hessego, kolejne zaś (*Twórczość, Forum philosophicum, Recenzje i polemiki*) nie są powiązane tematycznie z głównym nurtem rozważań. Nie znaczy to, że czytelnik nie znajdzie w nich tekstów interesujących, jak chociażby Agnieszki Matusiak *Słowne piruety w twórczości pisarzy „Młodej Muzy”*, czy Jerzego Franczaka *Schulz - klasyczny i (po)nowoczesny*, jednak osią tomu jest dyskusja nad statusem intelektualisty (w tym wypadku Hessego) wobec zagrożeń rodzącego się i już dojrzałego niemieckiego XX-wiecznego totalitaryzmu (faszyzmu).

Hesse stoi na stanowisku, które można by określić jako indywidualistyczne. Już we fragmentach listów z lat 1930-1944 powiada, że nie należy oceniać ludzi wedle przekonań (większość ludzi ich po prostu nie ma), lecz charakteru. Życie każdego człowieka ma bowiem tyle sensu, ile on sam zdoła mu nadać. Stąd też jego krytyczny stosunek zarówno do faszyzmu jak i socjalizmu z ich kultem ciała (faszyzm) i ekonomii (komunizm) przy jednoczesnym braku szacunku dla ducha. Boks i wioślarstwo - powiada Hesse - nie zastąpią kultury.

Przeprowadza zatem Hesse radykalną i trwającą kilkadziesiąt lat krytykę „ducha germańskiego”, który zdaniem autora *Gry*

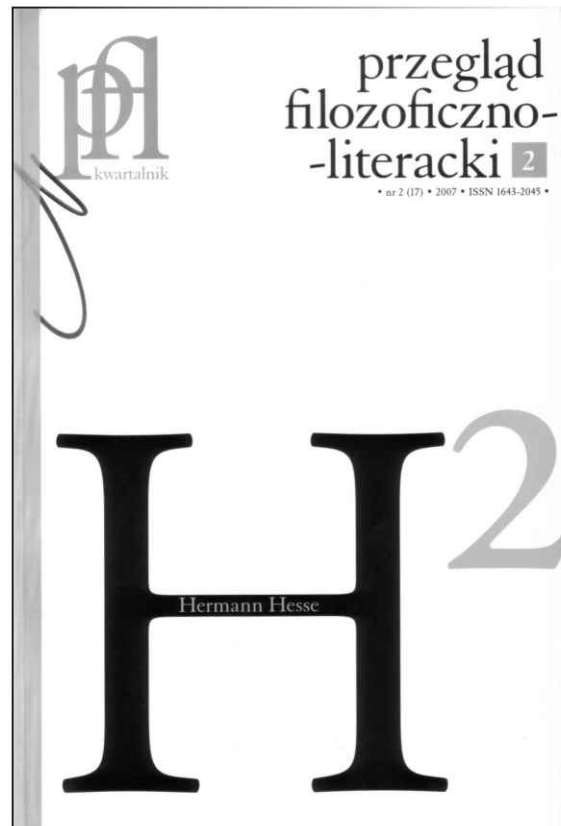
szklanych paciorków doprowadził do klęski Niemiec zarówno w pierwszej jak i drugiej wojnie światowej. Już w analizie sytuacji, z jaką mamy do czynienia po pierwszej z wojen, razi go szczególnie brak wyrażenia nawet chęci skruchy za dokonane czyny, odpowiedzialności za nie. W ten sposób nie rozliczenie się z duchem niemieckim, który wiódł do pierwszej wojny światowej stanie się zaczynem powstania totalitaryzmu niemieckiego lat 30-40 XX wieku.

Wobec takiego stanu rzeczy można, jak zostało to już powiedziane, przyjąć dwie postawy: czynną i bierną (uczestniczenia i nie uczestniczenia). Hesse, także z racji pewnych okoliczności życiowych, przyjmuje drugą z nich. Jest krytykiem mentalności niemieckiej, ale krytykiem wygodnym z racji zamieszkania z dala od Niemiec w bezpiecznej Szwajcarii. Nie wiem na ile autor *Wilka stepowego* zgodziłby się z taką diagnozą. Przecież jego analizy zmierzają do wskazania na pewne czynniki obiektywne w drodze do postawy „politycznego introwertyka”. I tak w *Historii Świata* powiada, że jest ona swoistym „oszustwem dorosłych”. W kolejnym tekście (*Droga miłości*) twierdzi, że niedobór miłości jest wynikiem płynącego z braku szczerości powszechnego niedowierzania, które przepoczwarza w efekcie jej potrzebie w swoiście zdeformowany heroizm. Taką też sytuację odnajdujemy w słynnym *Powrocie Zaratustry*, gdzie głos Mistrza gubi się w „stadnym zachwycie i tumulcie tłuszczy”. W rezultacie wola mocy, której siła leży w kształceniu osobowości, przeradza się w stadną wolę mocy, która charakteryzuje nie panów, ale niewolników; jest zatem wypaczeniem idei Nietschego. Nie formy rządów należy zatem budować - powiada Hesse - ale osobowości (człowieczeństwo). Jeśli będzie inaczej prorokuje ludzkość i państwa same unicestwią się w wojennej pożodze.

Czy zatem nie tu rola intelektualistów, nie w

tym, by nie tylko przestrzegać, ale i budować nowe społeczeństwo ducha a nie ciała? Po części odpowiedź na to pytanie daje zakończenie dziennika z Rygi (1945). Intelktualiści starych czasów zostali złamani i nie nadają się do odbudowy duchowej. Ich wkład może polegać jedynie na opisywaniu tego, co przeżyli, a wtedy - być może - Niemcy zrozumieją swe winy i nie popełnią błędu z roku 1918. Czy to jednak możliwe? Hesse przyznaje, że istotne jest tu swoiste wyznanie win, po którym dopiero może nastąpić rozgrzeszenie. Jednak w *Liście do Niemiec* (1946) wątpi w taką naprawę; przeciw z listów, które dostaje od niemieckich intelektualistów wynika, że uważając Hitlera za winnego tego, co się stało, nie uznają przy tym siebie za współwinnych. Czy naprawdę - pyta Hesse - Niemcy odkryli cele Hitlera dopiero po 1933 roku?

Powstaje pytanie, czy nowy powojenny porządek będzie lepszy. Czy głos Hessego i innych niemieckich intelektualistów może być jakąś nauką? Czy mają dalej sens literackie dyskusje o polityce? „Dla świata kontrolowanego i rządzonego przez Amerykę i Rosję niemiecki literat pozostaje postacią uciążliwą” (s. 93), zaś owe dyskusje bezwartościowe. Państwa, które pełnią dominującą rolę w świecie powojennym popierają wprawdzie demokrację, ale tylko w tych krajach, które okupują (s. 99). W tym względzie Hesse jest krytyczny tak wobec kapitalizmu jak i socjalizmu, gdyż są one pewną, li tylko nowszą, wersją fanatyzmu. Tymczasem, jak powiada w liście z 1950 roku, „musimy twardo obstawać przy swoim, przy przekonaniu, że możliwa jest inna droga do pokoju, zapewnienia porządku i odtrucia świata, niż bomby i wojna” (s.103). Droga ta wiedzie, jak można mniemać, poprzez estetyczny w swej istocie postulat umiłowania jakości a nie ilości. Nie idzie bowiem o postępy, ale o kreowanie osobowości jednostki. Są bowiem dwie historie człowieka - polityczna i moralna. Apologeci nowego ładu, w oświeceniowym w gruncie rzeczy złudzeniu postępu, wierzą że poprzez politykę można zmieniać moralną naturę człowieka. Powielają zatem błąd swych poprzedni-



ków, co doprowadzić może - jak przestrzega Hesse - do odrodzenia się idei faszyzmu i to nie tylko w Europie. Cześć „klasyczną” tomu uzupełnia znakomicie współgrający z tezami Hessego tekst z 1919 roku autorstwa Hugo Balla *Krytyka niemieckiej inteligencji*, w którym przyjaciel Hessego poddaje krytyce samą ideę pangermanizmu, powiadając, iż Niemcy nigdy nie były, nie są i nie będą „moralnym sercem świata”.

Cześć druga omawianego tomu dopełnia obrazu zarysowanego w części pierwszej. I tak dla przykładu zarówno Jerzy Pabian jak i Maurice Blanchot przybliżają nam życie i twórczość Hessego, tekst Iwony Krupeckiej to nade wszystko analiza jednego z najważniejszych jego dzieł, jakim jest *Gra szklanych paciorków*, Robert Marszałek z kolei analizuje przesłanki myśli faszystowskiej ze względu na wyróżnioną kategorię autonomii.

*

Zasadniczą różnicą między Marksem i marks-

stami a Hessem jest to, że pierwsi chcieli zmieniać świat, Hesse zaś człowieka (jednostkę). Przed tym, czy jest to rzecz do pogodzenia staje bohater drugiego z omawianych tomów, czołowa postać tzw. warszawskiej szkoły historii idei Leszek Kołakowski. W kolejnych artykułach znajdujących się zarówno w części *Świadectwa*, jak i *Inspiracje i dedykacje* ich autorzy zdają się odpowiadać na postawione powyżej pytanie, przyznając pośrednio, że mamy oto do czynienia z drugą z wyróżnionych przeze mnie postaw, którą nazwałem uczestniczącą (poszukującą). Analizując zarówno działalność jak i ewolucje poglądów Kołakowskiego, przyznają (Andrzej Walicki, Krzysztof Michalski), że historyzm Kołakowskiego i w dużej mierze całej szkoły jest, najprościej rzecz ujmując, polską wersją marksistowskiego rewizjonizmu. Jednakże w opisywanym przypadku mamy do czynienia z wyraźną ewolucją poglądów i filozofii Kołakowskiego, dzięki czemu dostrzegamy, że ów rewizjonizm był tylko wczesną formą poszukiwania (nadawania?) sensu świata. W *Obecności mitu*, *Horrorze metafizycznym* (*Horror metaphysicus*) czy wreszcie w *Jeśli Boga nie ma* ów sens odnajdujemy w religii i szeroko rozumianym micie, bo tylko one zdają się dawać uporządkowany obraz świata i naszego istnienia (Helena Eilstein, Jan Andrzej Kłoczowski OP, Małgorzata Szpakowska). Jednym z takich mitów był marksizm jako swoista (szkodliwa i w gruncie rzeczy fałszywa) „fantazja stulecia” (Jacek Zychowicz). Jej urok polegał na wprzęgnięciu filozofii w praktykę życia. Innymi słowy rozum odkrywa tu swą moc w praktyce, jednakże zarazem rozszczepieniu ulega sfera wartości i faktów, w efekcie czego owa praktyka zdaje się opierać na micie. Tak też marksizm jawić się może jako utopia, która w dalszym planie głosi, że bez owego mitu pozostaje jedynie postawa sceptyka (bez mitu wszystko zda się być dozwolone).

Jak powiada w swym artykule Jerzy Niecikowski „każda filozofia jest wysiłkiem wartościotwórczym” (s. 192). Nie oznacza to jednak, że owo filozofowanie jest zarazem czymś niezmiennym. Kołakowski atakuje

religię, potem zaś jej broni. Jak pogodzić te dwie postawy? Jak się wydaje, idzie o tzw. moralność humanistyczną - obronę człowieka indywidualnego przed zbiorowym. W tym znaczeniu autor *Jeśli Boga nie ma* to antyabsolutysta i moralista zarazem.

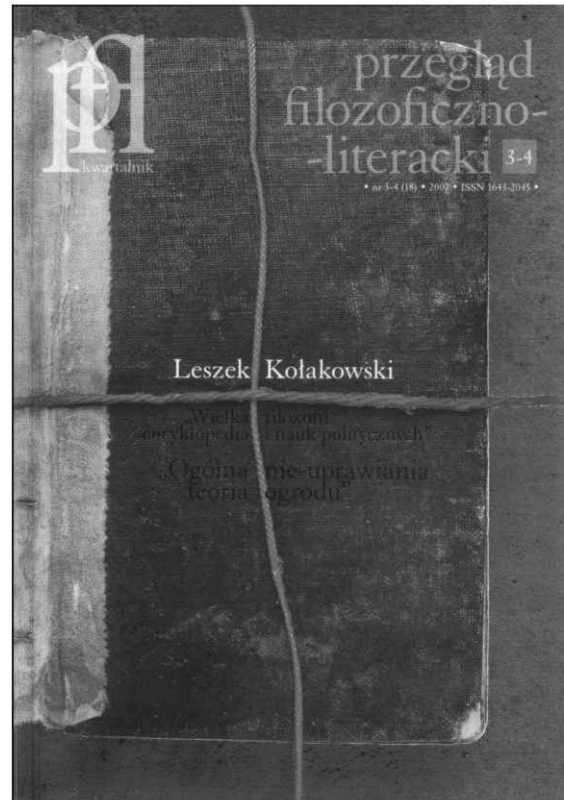
Kołakowski jawi się tu zatem jako filozof poszukujący, uwikłany w dyskurs między wiara a wiedzą. Uchwycona w *Horrorze...*, sceptyczna w swym zaraniu, dwoistość rozumienia sensu świata i ludzkiego życia przekraczana zostaje poprzez idee - jak sugeruje w swym artykule Janusz Dobieszewski - Absolutu i ludzkiej subiektywności (*cogito, ego, alter ego*). W efekcie sedno zamysłu intelektualnego Kołakowskiego tkwiłoby w samym poszukiwaniu prawdy jako celu filozofowania (Krzysztof Oko pień, *Kantysta w świecie teraźniejszym*).

Kolejne artykuły, począwszy od zawartego jeszcze w *Świadectwach* testu Andrzeja Mencwela *Leszek Kołakowski: dzieło w cieniu* pokazują dalszy rozwój szkoły i pokrewnych z nią lub będących w pewnej opozycji nurtów filozofii polskiej. Wyłaniający się z nich obraz ukazuje nam, że dzieło filozofa nigdy nie jest skończone, jest zawsze w trakcie budowy, czynionej zarówno przez samego filozofa jak i czytelników jego prac. W tym znaczeniu filozofia jawi się nie jako rzecz ukończona (mit raz na zawsze dany), ale nieustanne poszukiwanie.

Na koniec spróbujmy odpowiedzieć na pytanie postawione na początku niniejszego tekstu. Jaka powinna być postawa intelektualisty wobec zastanego świata? Czy ma ów świat opisywać czy też kreować, zmieniać? W dzisiejszych czasach, gdy tak wielu przyznaje się do bycia intelektualistą (*vide*: strajk lekarzy), odpowiedź na to pytanie staje się szczególnie ważna. Po pierwsze - odpowiadając na powyższe pytanie - nie wszyscy roszczący sobie prawo do tego terminu owymi intelektualistami są. Oczywiście jest, że Hessego czy Kołakowskiego nazwać tak należy, jednak czy jakaś grupa zawodowa może rościć sobie do tego prawo - mam ogromne wątpliwości. Intelektualistą nie jest się bowiem z nadania lub uzurpacji, jest się

nim z uwagi na swoisty stosunek do świata, wiedzę i mądrość. Niestety, o czym filozofowie dobrze wiedzą, sowa Minery upiera się dalej, by wylatywać o zmierzchu, zatem to tylko prorocy wiedzą, że wiedzą. Filozof czy filozofujący literat mogą jedynie szukać odpowiedzi ostatecznych. A skoro tak, mogą się też i mylić. Ważne przy tym jest, by z owych pomyłek zdawali sobie sprawę. W efekcie ani postawa nie uczestnicząca, ani uczestnicząca nie są wyznacznikiem mądrości, jak chciał tego choćby Erazm z Rotterdamu (głupiec działa, mędrzec się waha), ale refleksja nad stanem swojej wiedzy, swojego stosunku do świata i tego, jakim on w istocie jest (każdorazowe nadawanie mu sensu). Co jednak, gdy świat, w tym i nasze życie sensu by nie miały? Wtedy warto by im było ów sens nadać.

„przegląd filozoficzno-literacki” nr 2 (17), Warszawa 2007, str. 437; „przegląd filozoficzno-literacki” nr 3-4, Warszawa 2007, str. 604.



KRZYSZTOF KWOCZKO

tak jakby istniała jakaś obiektywna prawda
mogąca brutalnie ingerować w moją nieświadomość
a co jeśli ci się tylko wydaje pytasz
niech mi się wydaje tak zawsze odpowiadam

wyrasta stąd
jak z jednej cebulki wyrasta
włos rozdwojony

mam dość siły i narządów do przeszczepu
i choć po śmierci będzie ze mnie pożytek
to nie mam dość siły
mam dość i nie będę się bronił
zakopcie mnie z moim sercem
na śmierć na ulicy

DOMINIKA JESZCZYŃSKA

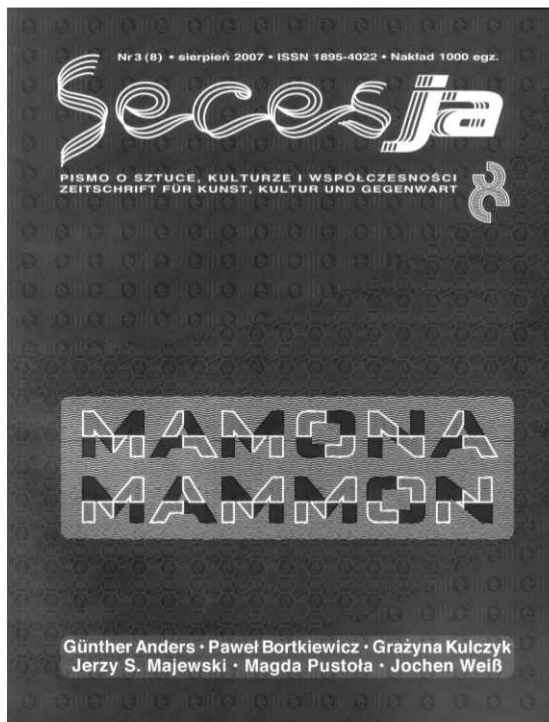
SECESJA

Dwa ostatnie numery dwujęzycznej (polsko-niemieckiej) SECESJI. PISMA O SZTUCE, KULTURZE i WSPÓŁCZESNOŚCI nie od razu zachęciły mnie do lektury: skromna szata graficzna, szaro-makulaturowy papier... To zrozumiałe: należę do pokolenia rozpieszczonego przez kolorowe tabloidy. A jednak SECESJĘ przeczytałam od deski do deski. Założenia, które przyświecały wydawcom tego pisma, „zbudowania więzi pomiędzy Polską i Austrią, a następnie pomiędzy Polską i trzema krajami niemieckojęzycznymi Niemcami, Austrią i Szwajcarią”, to w moim przekonaniu inicjatywa cenna i potrzebna. Zwłaszcza dzisiaj, kiedy w stosunkach polsko-niemieckich tyle nieudomówień i zadrążeń. Z pewnością warto zajrzeć do wcześniejszych numerów tego kwartalnika, gdzie było o powstaniu warszawskim 1944, jubileuszu 25-lecia Solidarności, wydarzeniach poznańskich 1956 i ich związkach z powstaniem na Węgrzech, różnorodności religijnej, o tym kim był i jest dla



Austriaków Jan Paweł II, o reinterpretacji historii, seksualności, a w dwóch omawianych numerach o mamonie i jej roli „w społeczeństwie turbokapitalistycznym” oraz szeroko pojętym „bezpieczeństwie”. To wszystko „okraszone” wywiadami z ludźmi kultury. Polecam zwłaszcza „Głębiej od naskórka” - rozmowę z reżyserem i scenarzystą Maciejem Drygasem, i „Nowy polski kryminał”, o którym opowiada Ireneusz Grin - pisarz, fotograf i wydawca. Tym bardziej żał, że numer dziewiąty SECESJI z listopada 2007 roku był ostatnią odsłoną tego dialogu.

„Secesja”. Pismo o sztuce, kulturze i współczesności, nr 8 i 9, Warszawa 2007.





JĘSZEK SOKOŁOWSKI

Pamięci babci

Oto jest łyżka czarna jak chleb
Oto jest śmierć

kwiaty w wazonie z gliny czerwonej
miseczka łez
oto są drzwi z żelazną kołatką
pajęczna sieć
łóżko drewniane i stary siennik
oto jest śmierć

korale paciorki
koronki blade
dłonie
jaskółki kochane
miseczka łez

Oto jest łyżka czarna jak chleb
Oto jest śmierć

lampa to gwiazda
deska i nóż
kokardki wstążki
dzwoneczki dzioneczki
światełka świec
kosze z wikliny
jabłka w komodzie
warkocze siwe
w ogrodzie deszcz

Oto jest łyżka
Oto jest chleb

krucyfiks czarny
sukienki w szafie
kwiecisty maj
w sieni smak ziemi
słony
smak ziemi
miseczka łez
jaskółki kochane
różaniec i chusty
biała jak bez
cicha modlitwa

Oto jest śmierć

jeszcze ciszę opisać

tyle nocy, tyle snów
i aniołów już nie ma
znów brakuje słów
by ciszę opisać
i powietrza brakuje

buduję próżnię
wokół siebie
unoszę się i w dół opadam
jak liść bezwolny
bezszelestnie

czekam na koniec świata
wiem, że nadejdzie o świcie
z wschodzącym słońcem
i śpiewem ptaków
w maju

wtedy opuści mnie smutek
i nadzieja

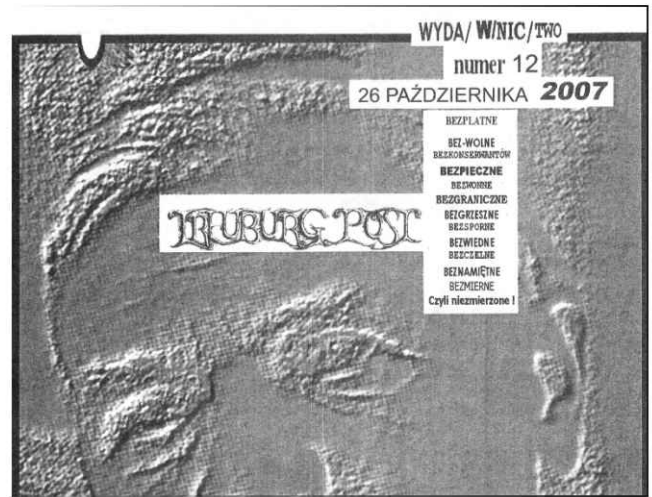
tyle snów, tyle nocy
straconych
bez miłości
tyle lęków daremnych
i modlitw
i słów tak mało
by świt opisać

DARIUSZ MAGIER

MENU Z OLECKA

„Treuburg Post” to wydawnictwo utrzymane w stylistyce menu jednego z tych anglo-rodzimej pubów, w którym treść jest zaledwie pretekstem do eksperymentów artystycznych z przekazem. Opierając się na mojej teorii, stworzonej wyłącznie na osobisty użytek, że pisma literackie dzielą się na „śmiertelnie klasyczne” (z aurą tej przykryj surowości rodem z socrealu) oraz na „śmiertelnie awangardowe” (wizualizujące przewidywalną dziwaczność), można by wydawnictwo z Olecka „wrzucić” do tych ostatnich. Zamierzony chaos, formuła jakby wycięta ze snu szalonego grafika lub anonimu z powycinanymi z gazet literami - oto cały Wiesław B. Bołtryk, dla którego „Treuburg Post” to zapis czasu, rejestracja zdarzeń, spotkań, przyjaźni i fascynacji ludźmi, a nade wszystko ich pracą twórczą. Bo gdy odrzucimy ten Bołtrykowski awangardowy szafarz znajdziemy przede wszystkim twórczość. I na szczęście to ona jest w tym wszystkim najważniejsza.

W numerze 12 z jesieni 2007 olecki zine artystyczny przypomina postać *robotnika sztuki* Andrzeja Partuma - neoawangardowego



artysty, poety, kompozytora, *manifestatora* (autora manifestów) malarza, performerancera, zmarłego w 2002 roku.

Poza tym duża porcja limeryków Wacława Klejmonta i Roberta Szecówki, miniatury Ewy Kozłowskiej oraz wiele rysunków. Zamawiać, nie zamawiać menu zawsze warto przejrzeć.

„Treuburg Post”, nr 12, Olecko 2007



ADAM ŚWIĆ

ANDRZEJ CORYELL

„GRONOSTAJ UBRANY W KRÓLA. AFORYZMY I MAŁA PROZA”

W KRÓLESTWIE KICZU NIGDY NIE DOCHODZI DO PRZEWROTU, choć JEDNYM PISANY ANALFABETYZM, INNYM CZYTANY. Jednak PRZYWILEJEM KICZU JEST NIEZŁOMNY OPTYMIZM, a I PEGAZ PRAGNIE DORWAĆ SIĘ DO ŻŁOBU. Mimo wszystko MYŚLENIE NIE ZWALNIA OD MYŚLENIA, jednakowoż GRAFOMANKI WINNY ZARABIAĆ TYLKO SAMO CO GRAFOMANI.

Niniejsza „recenzja” składa się prawie

wyłącznie z tendencyjnie dobranych cytatów z „recenzowanej” książki, mimo że - jak sam zauważył jej autor - NIKT NIE MA CIERPLIWOŚCI DOCZYTAĆ KOGOŚ DO KOŃCA.

Wydawnictwo „Jeden Świat”, Warszawa 2007, rysunki w książce Andrzej Coryell, projekt graficzny Sylwia Caban - Wiater





JAKUB ANTOLAK

Matka boska groteskowa

w atmosferze niewątpliwie napiętej
między głowami pochylonymi w czoła
tępej jak gwóźdź
tęgiej jak dąb w kolorze
smutku

stała z językiem różowym
przyklejonym do ust

język jak język
prześwietlany był od wielu stron
można powiedzieć że ze wszystkich
jednak ani klęczący naiwnie ani krokiem
posuwistym idący w stronę przeciwną
nie czuli tej irytacji

oto bowiem
przed państwem
niby obraz cudowna jak pieczenie chleba
z ręką zdrewniałą od trzymania dziecięcych
pośladków
udaje się jej wypiąć
spomiędzy warg szkarłatny mięsień

i nikt nie pyta o to
czemu czerwień bywa
tylko na początku

z bytości w będziość
Miron Białoszewski

to nie zwykły sen
tylko przywidzenie
nie takie
które we śnie widzisz
badając tęczęwką
skrawek marzenia
tylko fragment westchnienia
który spadł
z jej czarnej rzęsy

to nie zwykły wyraz
czy formuła: prosta sekwencja
przekazu: miedzioryt
ilustracja
nawet nie zdanie
które odkrył
jakiś wielki uczony
zawierając w twierdzeniu
oprawionym w zaśnieżone
ramki

to również nie zwykły przedmiot
typu lustro czy stary kandelabr
z których ta zwykłość przebija na metr
bijąc w nozdrza głoskami
nieznanych cząstek czy
słowami poety w motcie wiersza

krople grafitu posturą
przypominają herosa
z odrąbaną ręką i piętą
przebitą strzałą

złamana strofa
którą skończę gdy ktoś
przetnie złotą nić